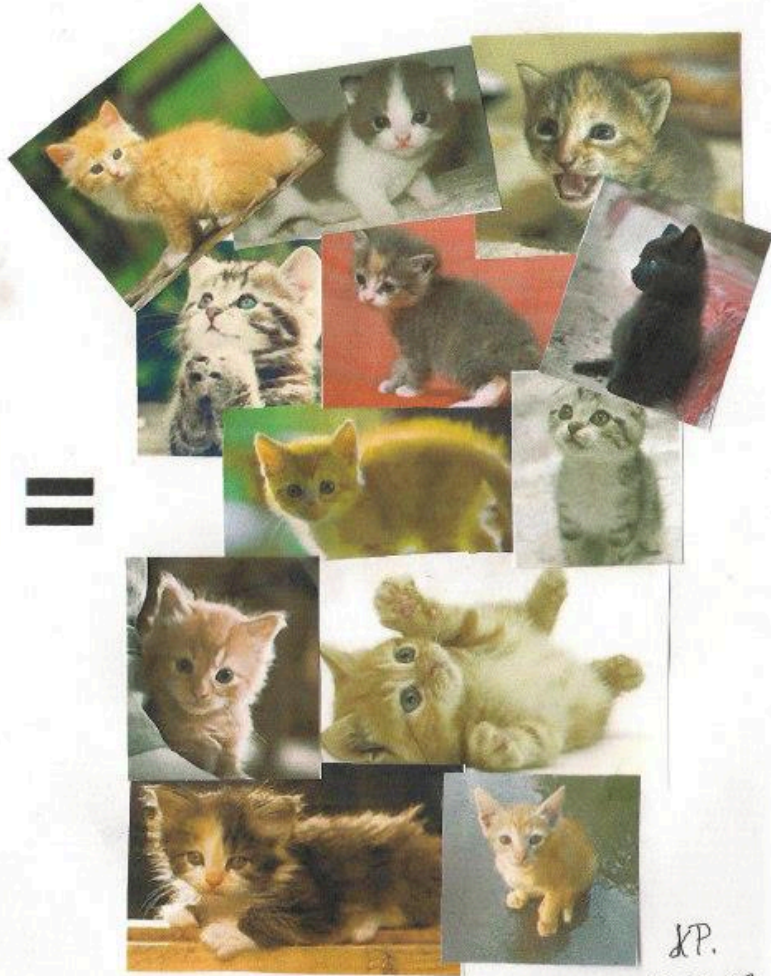




+



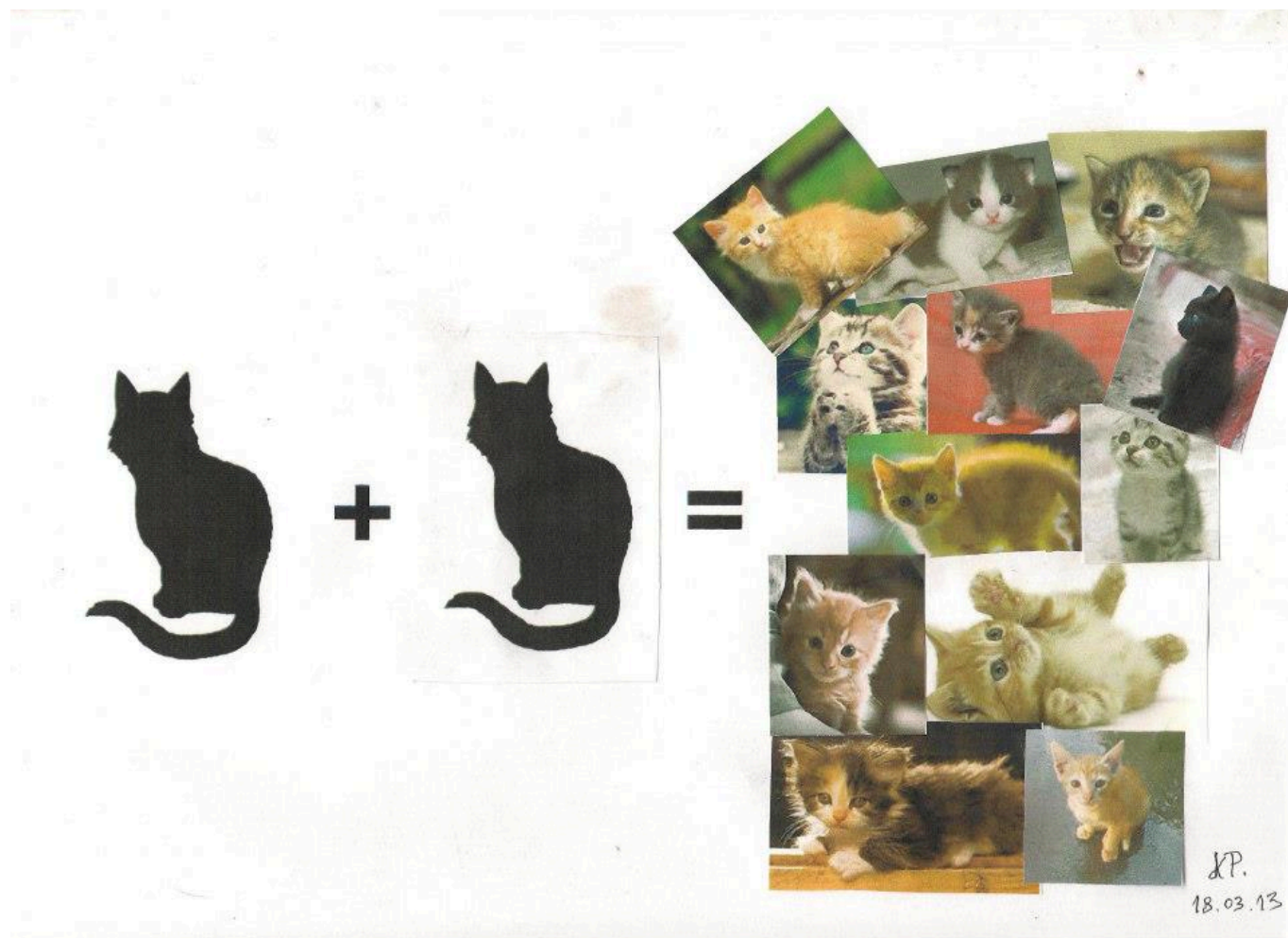
=



XP.
18.03.13

"Animaland" - opowieść wegetarian dla mięsożernych

Fahrenheit Crew



Pomysł stworzenia w Fahrenheitie Zakużonej Planety nie podobał mi się. Publiczne „katowanie” kiepskich tekstów wydawało mi się większą krzywdą dla autora niż pożytkiem dla doszłych i niedoszłych pisarzy. Wytykanie błędów autorom, którzy mają problemy ze zbudowaniem poprawnego zdania, a nawet z ortografią, wydawało mi się zbyt łatwym zadaniem, służącym głównie li pobawieniu gawiedzi (oczywiście nie ubliżając Szanownym Czytelnikom Fahrenheita, to tylko powiedzenie takie). Minęło już blisko 12 lat i zrewidowałem poglądy. Lepiej późno niż wcale.

Przez te lata ludziom nie znudziło się przysyłanie nam tekstów z podpisanymi zgodami na Zakużoną, temat ten najwyraźniej nie znudził się też czytelnikom. No i jest jeszcze trzecia strona - Redakcja, która także nie ziewa przy „wybebeszaniu” opowiadań.

Ponieważ w czasie urlopu człowiek się nudzi, i mnie naszła chętka na pojawienie się w tym dziale. Nie pozostaje mi więc nic innego jak odszczekanie moich protestów sprzed 12 lat i... wzięcie się do „roboty”.

Nie byłbym sobą, gdybym podszedł do tematu jak inni, podchodzę więc po swojemu. Jeśli, Drogi Czytelniku, oczekujesz tutaj rozbioru każdego źle zbudowanego zdania, wytknięcia i wyśmiania błędów, zawiedziesz się. Lepiej nie czytaj dalej.

Wytykać najprostsze błędy w poniższym opowiadaniu jest łatwo. Już w pierwszym akapicie mamy do czynienia z samochodem, który wiedział, że ma niewiele czasu. W następnym zdaniu pościg trwa coraz dłużej, a z tego wynika, że masło jest maślane. Dalej – miasto wygląda na opuszczone, to już kolejne. Co!? Najbardziej w tekście rozbawiła mnie matka, która – będąc dziećciem – powtarzała coś bohaterowi.

W ten sposób wypunktować można niemal każdy akapit, ale to nie będzie miało chyba większego sensu. Błędów jest za dużo.

Kiedy widzę taką twórczość jak poniższa, zastanawiam się, ile lat ma autor i kto go uczył języka polskiego. Dotąd wydawało mi się, że wystarczy skończyć podstawówkę (czy jak to się tam teraz zwie), żeby uniknąć najprostszych wpadek... I znowu się myliłem, bo wpadka to jest jednorazowy przypadek, a wśród aspirujących do pisarstwa twórców mamy do czynienia z programową nieumiejętnością poprawnego i logicznego budowania zdań.

Ponieważ uważam, że za pisanie biorą się ludzie inteligentni, podejrzewam, że winnymi takiego stanu tekstu mogą być tylko dwie osoby – autor i/lub polonista. Ten ostatni – bo nie nauczył, ten pierwszy – bo się nie nauczył. Obaj nie wywiązali się ze swoich obowiązków. Z własnej winy czy z winy systemu, który nie pozwala nauczycielom na skupienie się nad jednym uczniem, tego nie wiem. A może autor ma lat znacznie więcej niż dwadzieścia i zapomniał już, czego uczono go w szkole? Na pewno coś jest nie tak.

Pierwszą radą, z której powinni korzystać potencjalni autorzy, jest czytanie w myślach tego, co piszą, a jeszcze lepiej – robienie tego na głos. To naprawdę pomaga. To jest pierwszy etap, na którym można wyeliminować bardzo dużą liczbę błędów, pomyłek i nieporadności. Do tego nie trzeba samemu mieć dykcji, wystarczy uzmysłwić sobie, czym są znaki przestankowe.

Czytając „Animaland” słyszałem strzały z karabinu – krótkie zdania „wystrzeliwane” byle jak, by jak najprędzej „pozbyć” się ich z głowy. Z czystej ciekawości uruchomiłem w edytorze tekstu funkcję zamiany i podmieniłem wszystkie kropki na czerwone, 72-punktowe monstra. Zdania o budowie dłuższej niż jedna linijka (która tutaj składa się średnio z około dziesięciu wyrazów) są naprawdę perełkami. Autor jako motto zamieścił cytaty z Kinga i nawet pod względem budowy zdań widać inspirację Mistrzem. Tyle że Mistrz nie pisze po polsku. Budowanie krótkich zdań samo w sobie nie jest złe, pomaga tworzyć nastrój, podkreślić wrażenie szybkiego tempa akcji. Wszystko to pod jednym warunkiem: że pomiędzy te krótkie zdania wrzuci się czasem nieco dłuższe, zwalniające tempo (tak, jak robią to dobrzy tłumacze Kinga). Nie ma nic bardziej nużącego niż monotonia.

Drugą dobrą radą jest przyjęcie zasady, że tekst powinien chwilę odleżeć, potem zostać jeszcze raz sprawdzony przez autora, a następnie przez jakąś przyjazną duszę. I wydaje mi się, że akurat z tego punktu twórca przynajmniej po części się wywiązał. Wnioskuje to po braku (choć mogłem coś przeoczyć) błędów ortograficznych i zaskakująco poprawnej interpunkcji, choć nie wykluczam, że

autor może mieć do tego tzw. „dryg”. Jestem tym naprawdę zaskoczony, bo dopiero kilka godzin temu przeczytałem o „aferze” z wydawnictwem Novae Res.

Dla niezorientowanych wyjaśniam, że jakaś blogerka napisała recenzję książki tegoż wydawnictwa, a jego przedstawiciel zażądał skasowania wpisu pod groźbą konsekwencji prawnych. Argumentem za cenzurą miało być to, że „Bloggerka wykroczyła poza ramy recenzji, formułując daleko posuniętą krytykę niezwiązaną tylko i wyłącznie z recenzowanym dziełem literackim, budując niezgodne z prawdą wnioski”. Co ciekawe, w recenzji książka została oceniona pozytywnie, a skrytykowano jedynie okładkę i bijące po oczach błędy wydawcy, czyli przepuszczenie ortów. Więcej o sprawie można przeczytać na stronie <http://www.zombiesamurai.pl/2014/06/novae-res/>

Trudno z pojawiających się w książce błędów ortograficznych (we wcale niemałej ilości) wywnioskować coś innego niż to, że wydawca, mówiąc wprost, „dał dupy”.

Cała ta afery uzmysławia mi jedno: giną gdzieś pozytywne wzorce pisarstwa. Błędy w książkach trafiały się zawsze, i nie ma w tym nic złego, bo mylić się to ludzka rzecz. Wstydzić się należy dopiero wtedy, kiedy publikowanie źle zredagowanych i nieokorektowanych tekstów staje się normą. Za moich dziecięcych czasów, nawet w dyskusjach z polonistami, mogłem wziąć jakąkolwiek książkę i powiedzieć, że skoro tam tak jest, to znaczy, że musi to być poprawne. A dziś?... Dziś kandydat na pisarza może mieć problemy ze znalezieniem źródła dobrych wzorców. Całe szczęście, że opinia recenzentów i czytelników ciągle ma znaczenie. Co prawda minęło już chyba kilkanaście lat, ale do dziś pamiętam wytykanie wydawnictwu Fabryka Słów braku redakcji i korekty. W pewnym momencie ktoś tam w końcu poszedł po rozum do głowy.

Rozum w głowie z pewnością ma też autor „Animalandu”, w każdym razie na pewno ma go więcej niż wydawca Novae Res, i za to bardzo szczerze chylę przed nim czoła. I żeby nie było słodko – chyląc czoła uderzam tymże w blat stołu, a to boli. Boli, bo – pomijając sprawy językowe – opowiadanie niedomaga fabularnie i dlatego trafiło na Zakużoną.

Zacznijmy od tego, co w opowiadaniu mamy. Mamy akcję. Jak na tak krótki tekst – nawet odpowiednio dużo akcji. Do tego mamy ciekawy, choć zupełnie nieoryginalny świat. Porównując do filmu – mamy składowe na film akcji z kina klasy B. Mężczyzna podąża przez (kolejne) miasto, ścigając tych, którzy porwali jego ukochaną. W takim kinie i w takich opowiadaniach chodzi o to, żeby dać czytelnikowi rozrywkę „po drodze”. Od początku do końca przecież wiadomo, jak się wszystko skończy. Dobrze albo źle, nie ma znaczenia. Ważne, żeby była akcja, żeby coś się działo. I to wszystko w „Animalandzie” jest. Gdyby więc dopracować język, mielibyśmy składowe na przyzwoite opowiadanie klasy B.

Żeby aspirować do wyższej klasy, albo chociażby do B+, tekst powinien zawierać coś więcej, i co ciekawe, w „Animalandzie” jest to „coś więcej”. Mamy także przesłanie. Niby pasuje, czy też wynika z fabuły, ale jednak jakby nie pasuje. Jest zbyt jasne, wyraźne, podane wręcz „na tacy”, razi swoją dosadnością zupełnie jak to w „Avatarze”.

Mamy też w tekście element zaskoczenia. W sumie jest ich nawet trzy. Pierwszy – dzik nie ginie. Drugie – to, co robi Maggie. I trzecie – brak zakończenia, zamknięcia opowieści.

Pierwszy element to w sumie drobiazg, zamierzony, ale drobiazg. Drugi – ważny dla fabuły, zaskakujący, potencjalnie ciekawy i... niedopracowany/niewykorzystany. Najbardziej boli trzeci element zaskoczenia – zakończenie, którego brak. Autor nic nie wyjaśnia ani nie pozostawia czytelnikowi niczego do namysłu (dla pewności poprosiłem Sekretarza Redakcji o oryginał, bo nie

byłem pewien, czy nie dostałem jakiegoś „obciętego” pliku).

Ale to nie ten ostatni brak jest największą bolączką „Animalandu”. Największym grzechem jest brak logiki. Zaczyna się od logiki zdań, a kończy na logice fabuły.

Jeśli bohater porusza się z miasta do miasta i zatrzymuje się gdzieś z piskiem opon, to wydaje się logicznym, że poruszał się po jakiejś otwartej przestrzeni. Jak więc dostał się w miejsce, w którym auta tarasują każdą z możliwych dróg I dlaczego musiał się namęczyć, żeby wyprowadzić swoją maszynę na otwarty teren?

Jeśli dzik jest schowany za półkami, to jak mógł skoczyć na człowieka? Jak odpalona raca mogła mu zrobić krzywdę? Dzik bał się światła?

Jak ostre i długie pazury musiał mieć strażnik, żeby przebić knura na wylot???

Czytelnik został wrzucony w środek jakiejś historii bohatera. Oczywistym jest, dlaczego ten podąża za porywaczami, nie wiadomo za to, dlaczego tak się stało, z czego wynika takie jego zachowanie, jaka jest jego historia. Brakuje jakiejś podbudowy dla charakterystyki postaci pierwszoplanowej. Dlaczego nie zabija zwierząt, które go atakują? Jak zdobył zaufanie Brutusa, skoro w tym czasie inni ludzie ginęli z powodu zwierzęcego amoku (bo chyba tak należy rozumieć zdanie z opowiadania)? Jak, dlaczego i po co jego ukochana została porwana? Skąd bohater wie o tym?

I to samo dotyczy świata przedstawionego. W liceum miałem nauczyciela historii, którego lubiłem za to, że nie wymagał znajomości dat, ważne dla niego były przyczyny i skutki. Podobnej rzeczy ja dziś wymagam od literatury. Chcąc opowiedzieć pełnoprawną historię, należy zadbać o to, aby skutki wynikały z przyczyn. Nawet jeśli czegoś się nie dopowiada, to trzeba wiedzieć, dlaczego i jak to zostanie odebrane przez czytelnika.

Większość miast została zrównana z ziemią, a bohater stwierdza, że zwierzaki - w odróżnieniu od ludzi - nie niszczą, tylko tworzą harmonię?

Czy człowieka, który widzi na jezdni i jej poboczu części ludzkiego ciała, może jeszcze „zszokować” napis ułożony z tychże części? Czy logiczna jest później utrata przytomności na widok skórowania? Po co w ogóle ta cała „ścieżka zdrowia” plac-rzeźnia? Odnoszę wrażenie, że tylko po to, żeby zszokować czytelnika opisem, odwracając sytuację ludzie-zwierzęta. Trochę to zbyt nachalne.

Z bełkotu na temat przyczyny buntu zwierząt nie wynika nic. Wiemy, że rewolucja została zaplanowana, a ludzie zaskoczeni. Zgodnie z późniejszym opisem, w swoim zaskoczeniu trwali przez dwa miesiące... Dwa miesiące???. Nie walczyli w tym czasie, nie ubijali wściekłych zwierząt? Wyjaśnieniem mogłaby być mutacja, gdyby nie to, że nastąpiła ona dopiero po rozpoczęciu buntu... (właśnie wyobraziłem sobie, jak morduje mnie chomik lub rybka akwariowa).

Szwankuje nawet narracja. Jakby autor nie mógł się zdecydować, czy opisać wszystko z punktu widzenia osoby pierwszej, czy trzeciej, i czy narrator ma być wszechwiedzący, czy nie.

Nie! Zaczynam się rozdrabniać i znęcać. Stop!

Opowiadanie jest złe. Nawet bardzo złe. Jest nieprzemyślane, niedokończone i ma zbyt wiele dziur. Po prostu nie trzyma się kupy. Ale Ty, Autorze, nie jesteś zły. Gdzieś spośród tych zbitek słownych tworzonych przez Ciebie, przebija coś ciekawego, zajmującego. Jeśli chcesz coś osiągnąć, czeka Cię bardzo długa i trudna droga. Najpierw musisz się nauczyć logicznie łączyć zdania, a potem zająć całą resztą. Nie liczyłbym na to, że znajdziesz redaktora, który „za uszy” będzie wyciągał Twoje teksty, choć to byłaby najlepsza dla Ciebie metoda nauki. Sam pomysł, by szokować czytelnika, to za mało, nawet jeśli dodać do tego przesłanie. Może poczytaj więcej książek, skupiając się także na ich języku i budowie fabuły? Weź udział w warsztatach.

Powodzenia!

Litraznawca

ANIMALAND

*„Są na świecie rozmaite cuda. Niestety, nie zawsze takie, jakich byśmy sobie życzyli” – S. King
„Bastion”*

Samochód z piskiem opon zatrzymał się przed sklepem. Wiedział, że ma niewiele czasu. Pościg trwał coraz dłużej a czas działał na korzyść porywaczy. Przed wyjściem uważnie obserwował otoczenie z wnętrza ogromnego Forda. Miasto wyglądało na całkowicie opuszczone, to już kolejne. Tutaj jednak zniszczenia były o wiele bardziej dotkliwe. Budynki dogasały w nikłym blasku płomieni, porozbijane auta torowały każdą z możliwych dróg. Musiał się sporo namęczyć, żeby wyprowadzić swoją maszynę na otwarty teren. Parking przed małym sklepikiem samoobsługowym wyglądał bezpiecznie. Jednak pozory mylą. Niecały dzień temu, w podobnym miejscu mało nie został rozszarpany przez stado psów. Cudem uniknął śmierci. Jeśli tam w górze ktoś nad nim czuwa, to w końcu zmanifestował swoją obecność. Uzbrojony w dwa poręczne pistolety opuścił pojazd. Spojrzał w niebo, czarne chmury nie chciały ustąpić już od miesiąca. Zmrok niepodzielnie panował nad całym globem. Najgorsze, że nawet nie potrafił określić, kiedy zaczął się bunt. Atak musiał być planowany z taką skrupulatnością, że zszokowani ludzie nie zdążyli przed śmiercią zrozumieć, co jest grane. Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że dziś nie wiadomo, czy kiedykolwiek było inaczej.

Było...

Wnętrze sklepu wypełniał wszechobecny mrok. Zanim zdążył przyzwycząić oczy do ciemności, uważnie nadstawił uszu. Coś jest w środku. Przyczajone, wściekłe, przepełnione żądzą mordy. Słyszał doskonale złowieszcze sapanie. Zwierzę z pewnością miało doskonały wzrok, może widziało w

ciemności. Czekają na dogodny moment do zadania ciosu. Ostrożnie sięgnął do tylnej kieszeni, znalazł. Nim drapieżnik zdążył skoczyć, odpalił racę. Dzik, schowany za półkami po jego lewej stronie przeraźliwie zawył. Przerośnięte pazury i ostre jak brzytwy kły rozplątałyby go na pół – pomyślał nie bez strachu. Stwór miotał się konwulsyjnie, próbując wstać, ale jeden celny strzał skutecznie go unieruchomił. Pośpiesznie zabrał wózek i zaczął pakować wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia. Z impetem wypadł przez automatyczne kiedyś drzwi i stanął jak wryty. Na zewnątrz, wokół samochodu stała gromada szczurów. Tak, mimo rozmiarów przeciętnego psa to nadal były szczury. Wielkie, zakrwawione kły wystawały zza zaślinionych warg, świecące oczy bacznie obserwowały wędrowca. Powoli kroczyły przed siebie, zacieśniając krąg wokół niego. Świdrujące syczenie towarzyszyło mu z każdej strony. Amunicji nie wystarczy, stał więc pośrodku bandy, czekając na pierwsze ukąszenie. Już pomyślał, że nie zdąży wykonać swego zadania, kiedy zza pleców dobiegł go ochrypy pisk. Dzik podążył przed siebie głośno kwicząc, szczury zaś w popłochu uciekły w pobliski gaj. Zwierz stanął twarzą w twarz ze swoim pogromcą, na dwóch kończynach, ospale bujając się to w lewo, to w prawo. Wędrowiec schował pistolety i oddalił się ostrożnie do samochodu, odpalił silnik i ruszył przed siebie, stworzenie zaś wróciło do mrocznej hali sklepowej, nie do końca zdając sobie sprawę z przebiegu wydarzeń.

Początkowo nic nie zapowiadało katastrofy. Ludzie byli sobą (gospodarzem), zwierzęta też (pożywką). Z perspektywy czasu ocenił jednak, że od paru lat natura wysyłała subtelne sygnały. Oczywiście człowiek – zapatrzony we własne, przerośnięte ego – nic nie zauważył. Bezpańskie psy już nie wyły po nocach, ba, nawet w ciągu dnia nie kręciły się pod nogami w poszukiwaniu jedzenia. Tak samo koty. Bezdomni w kółko powtarzali, że widzieli czworonożne zwierzęta chodzące na dwóch łapach, rozmawiające ze sobą jakimś dziwnym językiem, bacznie obserwujące każdego przechodnia z ciemnych zaułków miast. ZOO opustoszały, bo „eksponaty” za nic w świecie nie chciały wychodzić do swoich zagród. Jeszcze ta pogoda, coraz chłodniejsza – mimo wczesnego lata – i systematycznie pogarszająca się widoczność. Dziś słońca praktycznie nie ma. Polarna noc ogarnęła całą planetę. Zaczęło się od potwornej burzy, właśnie wtedy poddani wystąpili przeciw swoim tyranom.

Przemierzając mroczne i puste ulice autostrad szukał śladów porywaczy. Nie, ludzkie szczątki leżące na jezdni i poboczach to kiepski trop. To zwyczajny dowód upadku człowieka. Myśleliśmy, że możemy władać naszą planetą jak tylko nam się podoba. Błąd, kardynalny błąd. Teraz płacimy tego wysoką cenę.

Będąc dzieckiem matka zawsze powtarzała mu, że Ziemia patrzy, uczy się i w stosownym czasie wyciągnie wnioski z naszej bez troski. Sposób, w jaki traktujemy zwierzęta, przyrodę, zasoby naturalne, kiedyś się na nas zemści. Gdyby wiedziała, jak cholerną miała rację, pewnie nigdy nie chciałaby mówić głośno swoich obaw.

Jechał już czwartą godzinę, ani śladu Maggie. Powoli tracił nadzieję, kiedy nad mostem dostrzegł duży napis

ANIMALAND – 10 KM

wykonany z ludzkich nóg i rąk. Zszokowany wcisnął hamulec. Samochód zaprotestował smrodem spalonej gumy, ale w końcu zatrzymał się. Niech mnie diabli – pomyślał – wykonanie tego musiało

zająć kilka ładnych godzin.

Litery, wszystkie idealnie równej wielkości, wisały na cienkich, przezrzystych sznurkach, pewnie ścięgnach. „A” wykonano z odciętego w pasie truchła, między kolana wszyto fragment ręki od łokcia do nadgarstka, stopy wykręcono do wewnątrz, co nadało ozdobnego charakteru. „N” stanowiło jeszcze większą osobliwość, obie zrobiono z masywnych męskich odnóży, które łączyła skośna, ale jakże zgrabna, kobieca noga. Kropkę na „I” reprezentowała dłoń z dumnie wyprostowanymi palcami. O ile „L” oraz „D” poza fakturą nie robiły większego wrażenia, to „M” było wisienką na torcie. Modelka używająca pionowych podstaw musiała być naprawdę przepiękna, ale nie to najbardziej zadziwiało. Krańcowe kolumny liter łączyły długie, skrzyżowane ze sobą pod kątem 45° ręce. Właśnie te splecione ze sobą palce wywarły na nim największe wrażenie. Pozostałe znaki wycięto z podobną dbałością. Ogołoczone ze skóry kończyny spryskano fluorescencyjnym środkiem, wyglądało to upiornie i zarazem pięknie.

Zastanawiał się, w którą stronę pojechać, ale parę metrów dalej wypchany denat nabrzmiałą dłonią wskazywał kierunek podróży.

Teren zmieniał się nie do poznania. Metalowe tablice przy drogach zastępowały martwe, ale ludzkie znaki. Regularnie rozjeżdżał krwawe szczątki, smród każdego przyprawiał o mdłości. Wokół autostrady zaczęły gromadzić się zwierzęta, badawczo obserwując jadący samochód. Niektóre – to musi być złudzenie – nienaturalnie szczyrzyły poźółkłe kły, uśmiechając się do niego. Nie spotkał się z żadnym aktem agresji, ale był świadom, że musi być czujny. Jeden nieostrożny krok i tyle dni poszukiwań i pościgu pójdą na marne. Niepewność tego, co go spotka, narastała z każdym przebytym metrem.

Jedno można powiedzieć na pewno. Gdy rozpoczęła się rewolucja, każdego człowieka czekała jedna z trzech możliwości: Mieć Szczęście, Nie Mieć Go oraz Mieć Przesrane. Pierwsi zdołali – przynajmniej na jakiś czas – uciec i przeżyć w domowych schronach. Drudzy – co chyba było lepsze niż ostatnia możliwość – ginęli na miejscu w zwierzęcym amoku. Trzeci trafili do niewoli, w której poznali, jak to jest być na łasce silniejszych i głępszych od siebie. Temperatura spadła i do dziś utrzymuje się na poziomie dziesięciu stopni nad kreską. Słońce zaszło i nie chce wzejść. W ciągu dwóch miesięcy stwory całkowicie opanowały Ziemię, zaczęły mutować do coraz bardziej groźniejszych form, wykształciły telepatyczną więź między sobą a przyrodą. A ludzie? Są jedzeniem, służbą, formą beztroskiej rozrywki, aktów przemocy i sadyzmu. Większość miast została zrównana z ziemią. Zostały tylko te największe, w których gromadzi się zwierzęca elita i oddaje własnym uciechom. Właśnie w jednym z takich miast, uwięziona w klatce, młoda kobieta czeka na swojego mężczyznę, który uparcie podąża jej tropem. Wciąż czeka. Nie tylko ona...

Widok miasta zapierał dech w piersiach. Czyściutkie ulice, budynki w stanie nienaruszonym, bujna roślinność. Zwierzęta – w odróżnieniu od nas – zamiast niszczyć, tworzą harmonię między naturą a rękodziełem, przeszło mu przez myśl. Gdyby nie dziwaczne hybrydy kroczące alejkami, wyglądające zza okien i ludzie, pełzający u ich stóp, wszystko wyglądałoby jak utopia. Wyglądałoby. Jim patrzył z wnętrza samochodu zrozpaczony i jednocześnie zaciekawiony. Człowiek jako maskotka z obrozą na szyi niewątpliwie budził w nim sprzeczne uczucia. Zastanawiałby się nad tym dłużej, gdyby duże auto dostawcze nie zagrodziło mu drogi, głośno wyjąc klaksonem. Odetchnął z ulgą. W końcu nawet teraz tylko ludzie potrafili prowadzić samochody. Spojrzał na kierowcę, okrzyk przerażenia wydobył się z jego gardła, zanim zdał sobie z tego sprawę.

Za kierownicą faktycznie siedział młody mężczyzna. Błada twarz wyrażała skrajną rezygnację. Gdy przyjrzał się bliżej zobaczył, że gość jest zszyty z siedzeniem jak i z kierownicą. W ciemności trudno było nawet rozpoznać, gdzie kończy się naturalna skóra a zaczyna obicie fotela. Nie ulegało za to wątpliwości, że stanowili z samochodem spójną całość. Chwilę później Jim zobaczył inne auta. Inne maszyny, ale schemat taki sam. Urodzeni kierowcy. Zamierzał jechać dalej, ale na asfalcie właśnie stanęła przed nim grupa stojącego na tylnych łapach czegoś... Tak, czegoś, bo mały z niedźwiedzimi pazurami i głowami sępów trudno jasno określić. Zebrał się już tego mały garnizon. Spokojnie wysiadł z samochodu i spojrzał na te dziwne zjawiska. Maszkary otoczyły go i zaczęły prowadzić w sobie tylko wiadomym kierunku, jeden z nich podszedł i spokojnie wręczył mu kartkę. Jim, wystraszony do nieprzytomności, drżącymi rękami zaczął czytać wiadomość.

„(Jim, tak?) Witaj w Animaland, jednej z wielu zwierzęcych metropolii. Planowałem zabić Cię już dawno temu, ale przyznaję, że przez swoją postawę zyskałeś mój szacunek. Od początku buntu nie zabiłeś nikogo z nas, chociaż miałeś mnóstwo sposobności. A pomysł z nabojami usypiającymi? Rewelacja. A teraz do rzeczy... Tak się składa, że trzymamy u siebie Twoją dziewczynę. Pewnie zastanawiasz się dlaczego. Wiesz co? My też... Sami nie wiemy kiedy i po co urodził się nam ten pomysł. Niemniej zadziałał znakomicie. Moi strażnicy zaprowadzą Cię do niej, ale najpierw pozwól, że zafunduję Ci wycieczkę po naszym mieście. Odwiedzisz miejsca, które znasz, ale ich aktualne oblicze może Cię zaskoczyć.

Nie potrafię obiecać, że po wszystkim Cię nie zabiję, więc bądź gotów na każdą okoliczność. To Wy sami nas tego nauczyliście, nie miej do nas pretensji.”

Brutus

(macie strasznie głupie imiona, takie wydało mi się najlepsze)

Pismo było tak niedbałe, że niektórych wyrazów Jim musiał się domyślać z kontekstu całych zdań. Eskorta ruszyła, on natomiast przygotowywał się na najgorszy w jego życiu rekonesans.

Już sam początek zmusił go do zwrócenia konserw, które jadł jeszcze w samochodzie. Wszedł na plac, na którym mieścił się kiedyś warzywniak. Cały teren zajmowały stragany z ludzkim mięsem. Ogromne świny w fartuchach tasakami porcjowały żywność według upodobań klientów, wielkich psów, kotów, psich kotów, kocich psów, kurzych lisów. Jim nie mógł zrozumieć, w jaki sposób powstawały tak dziwaczne zwierzęta. Człowiek na ponad sto sposobów, na miękko, twardo, w sosie pikantnym, słodko-kwaśnym, czosnkowym, udka, wątróbki, płuca, plecy, łydki, wiszące na sznurkach głowy, mózgi... Nie zdawał sobie sprawy, że przeciętny prosiak mógłby przyrządzić go w tylu wersjach i smakach. Zresztą na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Mięso było surowe, podwędzone, gotowane, smażone. Nie zdążył wymiotować wszystkiego z wnętrzości a już stwory popchnęły go w kierunku starej rzeźni. Doskonale domyślał się, co tam zastanie.

I nie mylił się. Na hakach wisały tuziny zwłok. Zimne, blade, obdarte ze skóry. Miał też przyjemność obejrzeć scenę uboju, w której człekokształtne wilki z wyszczerzonymi zębami patroszyły trzech wiszących za nogi mężczyzn. Żołądek raz za razem podskakiwał mu do gardła. Na zmianę charczał, dusił się, wymiotował, próbował krzyknąć, lecz głos zniknął i nie miał zamiaru zawitać z powrotem.

Poczuł, że traci przytomność. Jeden ze stworów przerzucił go przez ramię jak ręcznik i zaniósł do schroniska.

Obudził się w ciasnej klatce. Spore pomieszczenie, pełne podobnych żelaznych pułapek oświetlała jedna mała żarówka. Gdy oswoił oczy z półmrokiem dostrzegł, że otaczają go ludzie. Wyglądali strasznie. Wychudzeni, śmierzdzący, głodni, poniżeni, bez życia. Nikt nawet nie zwrócił uwagi na jego krzyki. Ze spuszczonej głowami obserwowali martwe robaki leżące na podłodze. Trupy miały więcej życia niż oni. Rozmyślenia przerwał mu strażnik zabierający go w kolejne, nieznanne mu miejsce...

Droga do Maggie – bo domyślał się, że chyba tam go zabierają – trwała w nieskończoność. Szedł ospale, popychany co chwila przez monstrum. Korytarze nie miały końca. Wszystkie ciemne, zatęchłe, pełne ludzi, żywych i martwych. Zmarli przynajmniej mają za sobą ten koszmar – pomyślał. Drudzy, mimo trwających nadal funkcji życiowych, nie wyrażali absolutnie nic. Leżeli bezwładnie we własnych ściekach, wypalone nozdrza nie odróżniały fekalii od Armaniego. Żał mu było wszystkich tych ludzi, wiedział jednak, że to rewanż. Takie same rzeczy działy się przyrodzie i zwierzętom na naszych oczach, tylko współczucie było niepomiarne mniejsze. Wewnętrzne rozdarcie to kawał cholery – pomyślał. Co najmniej dwie drogi wyjścia, lecz w każdej czeka na Ciebie demon wątpliwości. W końcu korytarza wreszcie zobaczył jaśniejsze drzwi. Czuł się, jakby dopadła go śmierć kliniczna, on zaś mimo wysiłków był coraz bliżej światła. Ciężkie stalowe zawiasy puściły a Jim wyszedł – a właściwie został wepchnięty – na spotkanie z Brutusem.

Pierwsze, co zobaczył to Maggie. Siedziała skulona pośrodku niedużej celi. Była wychudzona, blada, przerażona. Jim musiał krzyknąć kilka razy jej imię, zanim w ogóle podniosła głowę. Żrenice gwałtownie rozszerzyły się, ale zmęczenie nie pozwoliło jej na żadną reakcję. Zdążyła wywołać nikły uśmiech ulgi, po czym znów zapadła w półsen.

- Jest trochę zmęczona, podaliśmy jej kilka środków, bo była trochę nadpobudliwa. Niebawem powinna odzyskać świadomość.

Jim obrócił głowę i zobaczył bossa. Był to... knur, tak po prostu. Duży, ale zwyczajny. Poczuł się zawiedziony, nie po to przeżył i zobaczył tyle, żeby sprawcą wszystkiego okazała się domowa świnia.

- Oj, coś mnie nie doceniasz. Twoje myśli kotłują się tak głośno, że nie muszę się wysilać, żeby je usłyszeć. Podejdź bliżej. Moje zwierzęce ciało nie pozwala dostatecznie dobrze Cię zobaczyć.

Mężczyzna podszedł parę kroków, nie rozumiał, co się dzieje. To wszystko było jak tani, tandetny koszmar. Niezbyt zabawny, by się śmiać, za mało straszny, żeby krzyczeć.

- O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał coraz bardziej zdezorientowany. Patrząc na wyczerpaną Maggie ogarniała go wściekłość.

- Co masz na myśli? – Brutus był wyraźnie zawiedziony. Spodziewał się wybuchu paniki a dostał faceta, patrzącego dokoła zażenowanym wzrokiem. – Myślałeś, że jestem wielkim mutantem? Niespodzianka. Taki z Ciebie cwaniak, ale wytrzymałeś tylko dwie z sześciu przewidzianych atrakcji do zwiedzenia. Chciałeś wielkiego widowiska, na którym będziesz musiał wybierać między ludźmi a zwierzętami, wśród tysięcy rozwścieczonych dziwadła?

- Noo... tak. Inaczej po co te znaki, drogowskazy, masakry, krew?

- Nie wiem, właściwie nie wiemy. Żaden z nas. Ale czy to nie ludzkie? Zabijacie, gorszycie, szokujecie, po czym wracacie do swoich domów, rodzin, foteli i znów udajecie przykładnych obywateli. Rozejrzyj się, na świecie nie ma niczego, czego nie widziałbyś w swoich pobratymcach. Jeśli nasze realia Cię dziwią to jesteś albo głupi, albo ślepy.

- Po co więc ta pogoń, porwanie?

Brutus spojrział na niego badawczo i sięgnął za siebie. Jim instynktownie zgiął się wpół, próbując uniknąć kuli lub innej broni. Zamiast tego usłyszał głośny śmiech stworów. Otworzył oczy i pod nogami zobaczył pęk kluczy.

- Wypuść w końcu swoją dziewczynę, chyba nasiedziała się już w naszej celi - wycharczał knur, wciąż się śmiejąc. - Żałuj, że nie widziałeś swojej reakcji, mało nie narobiłeś w gacie.

Podniósł klucze i ostrożnie podszedł do klatki. Maggie zdążyła już wstać, ale kurczowo trzymała się krat, tylko dlatego jeszcze nie upadła. Otworzył drzwi, wziął ją na ręce i ostrożnie ułożył na posadzce.

- Co teraz? - zapytał - Zabijecie nas, zjecie czy zawiążecie na szyjach obroże?

- Wypuścimy - odparł zupełnie swobodnie Brutus. - Właśnie wypuścimy. Dowiodłeś, że potrafisz kochać, jesteś zdeterminowany, ale przy tym trzymasz się reguł gry. Teraz słuchaj uważnie. Kilkaset kilometrów stąd jest mała miejscina, Midian, ostatnia twierdza ludzi. Tam odsyłamy osoby, które według nas nie zasłużyły na śmierć. Strażnicy stoją na zewnątrz, wychodząc dostaniesz od nich mapę. Nie obiecuję Ci, że w ogóle tam dotrzecie, zawsze możecie zostać rozszarpani przez jakąś hybrydę, ale chyba nie masz innego wyjścia.

Nacisnął zielony przycisk po swojej prawej stronie i do środka wszedł jeden ze strażników. Stał między rozmówcami i wyciągnął do Brutusa łapy po klucz. Jim odetchnął z ulgą, kiedy poczuł obok siebie stojącą Maggie. Wyciągał rękę, by ją objąć, kiedy rozpoczęła atak. Z impetem wpadła na plecy zwierza, który ostrymi pazurami przebił Brutusa na wylot. Boss zawył z bólu i wściekłości, posoka trysnęła z poharatanego cielska. Po chwili do lamentu przyłączył się strażnik. Po paru sekundach mury twierdzy zadrżały pod naporem tysięcy krzyków, pełnych grozy i paniki. Jim złapał rękę Maggie i wybiegł przez otwarte drzwi. Spojrzął ostatni raz na opadającego na podłogę Brutusa i biegającego wokół niego strażnika. Lamenty stawały się nie do zniesienia, napór głosów przyprawiał o ciężką migrenę. Biegli przez mroczne tunele, mijając mnóstwo spłoszonych ludzi i cierpiących zwierząt, związających się z bólu. Jim zaś pędził przed siebie, Maggie z trudem dotrzymywała tempa, ale zaciśnięta mocno dłoń mężczyzny nie pozwalała jej zostać w tyle...